

JUDASZOWE SREBRNIKI

POWIEŚĆ

OSNUTA NA TLE WYCHODZTWA.

Aleksandra M. Jawornickiego.

(Ciąg dalszy.)

Z twarzy nieznajomego znikł uśmiech, w oczach blaski stopniowo gasły, jakby łzami się zaczęły i spojżenia ich z wyrazem bólu niezgłębionego zmieszane ze zdziwieniem spoczęły — na gospodarzu. Ten pod spojżeniem tych oczu zaczerwienił się, na twarzy odmalował się gniew i zniecierpliwienie. Nieznajomy stał jeszcze chwilę, jakby niepewny był co ma z sobą począć, nareszcie jakby pod wpływem nagle powziętego postanowienia odpiął ramię i tłumoczką, razem z łaską położył go w kącie i osunął się bezwładnie na krzesło.

W twarzy przecież człowieka nie było nie takiego co by usprawiedliwić mogło niepojęte zachowanie się gospodarza. Pominąwszy wypiętnowany na niej wyraz smutku i niezmiernego znużenia, rysy jej od pierwszego wejścia natchnęły mogły zaufaniem, jeśli już nie sympatją. Nieznajomy wydawał się mieć nie więcej nad lat czterdzieści, chociaż srebrne pasma siwizny, przewijające się tu i owdzie w czarnych włosach i w gęstej brodzie otaczającej wychudłe policzki, czyniły go znacznie starszym aniżeli był w istocie.

Przeciągające się milczenie stawało się już kłopotliwym, gdy p. Arnold pierwszy rzucił pytanie:

— Cóż cię tu nareszcie sprowadza?

— Toż samo co i ciebie, Piotrze, prawdopodobnie przygnało. Chociaż oprócz biedy inne jeszcze były powody...

— Nie nazywaj mnie Piotrem, przerwał szybko gospodarz. Nazywam się Benjamin Arnold. Rozumiesz mnie Marcinie? Zmieniałem nazwisko, bo chcę raz na zawsze o przeszłości zapomnieć i nieraż jestem gdy mi ją kto przypomina... Zresztą, musiałem to uczynić dla bytności, bo amerykańkom trudno wymawiać polskie nasze nazwiska.

Człowiek nazwany Marcinem utkwiał wzrok swój w oczach gospodarza, wzrok jakiś dziwny, badawczy, pod którym ten uczuł jak mu fala krwi zalała policzki, i głosem pełnym smutku głębokiego rzekł po chwili:

— Ze zmianą nazwiska i tyś się także odmienił. Odmieniłeś się tak, że się istotnie polapać nie mogę, czy to ty jesteś, Piotrze, czy też naprawdę jakiś przybłąda Benjamin Arnold skradł twarz twoją, głos twój i teraz ze mną rozmawia, szydząc z pocziwego ojca twego nazwiska... Powiedzno mi, Piotrze, czy my się tak wszyscy wyrażamy skoro nas na obcą ziemię przesadza? Bo widzisz, jeśli by tak być miało toż by przekląć trzeba każdy dolar, który się za taką cenę kupuje. Arnold poruszył się niecierpliwie, zamiast jednak odpowiedzieć, zapytał sucho:

— Czego ty chcesz odemnie właściwie? Mów przedzej.

— Chce pracy.

— Ależ jej brak w starym naszym kraju? — Ty wiesz najlepiej czy ją każdy znajduje, kto chce pracować. Wszak pamiętasz ojca i ten hak od lampy? Zresztą dajmy pokój przeszłości. Tyś pono zapomnieli już o niej i ja radbym wydrzeć ją z pamięci, gdybym tylko mógł, gdyby się tylko dało...

Mówiąc to oczy Marcina, jakby od łez nabiegłych wilgotnym zajaśniały blaskiem i głos mu się na piersi zalał; przewyciężył jednak ogarniające go wzruszenie i podjął znów po chwili:

NOC

z 3. na 4. Grudnia.

na zasadzie akt sądowych

opisał Walery Przybrowski.

(Ciąg dalszy.)

Zrzucił futro i poszedł do niewielkiego pokoju, zwanego w języku partykularza, pokojem bawialnym.

Dziewczyna zapaliła lampę i pobiegła.

Został się sam. Przez chwilę stał milczący, prawie skamieniały, z czołem brzdami zoranem, z groźnym jowiszowem brwi zmarszczeniem, z oczami wlepionymi w słabo palącą się lampę.

Po niejakiem czasie przetrzął ręką czoło, westchnął głęboko i począł chodzić wielkimi krokami po pokoju, szepejąc od czasu do czasu:

— Słaba, słaba! i to od rana...

Zatrzymał się przed oknem i patrzył na iskrzący się śnieg na ulicy od mrozu i migotliwego blasku gwiazd.

— Powiem ci krótko, tak będzie lepiej i dla mnie i dla ciebie, Piotrze, bo unikniemy przez to zatrucia goryczą pierwszych chwil po tylu latach rozłąki. Po powrocie z wojska wszystko mnie zawiodło a najpierw ta, dla której gotów byłbym oddać życie, zbawienie nawet... Od tej chwili męczyłem się tylko lat dziesiątek bez mała. Do czego się tknął, nie szło mi, jakby kłątwa jakaś ciążyła na mnie. Widziałem jak ten i ów, porwany prądem emigracyjnym, rzucił kraj, rodzinę i szedł za morze, — powiedziałem sobie przeto: pójdę i ja, toż chyba tam za oceanem łatwiej zapomnę i na chleb prędzej zarobię, bo tu z tym bólem do niczego się chyba nie przydam. Poszedłem tedy. W New Yorku powiadał mi, że na zachodzie łatwiej o zarobek; więc pieszo z tobołkiem tym na plecach, o suchym kawałku chleba, puściłem się za nadzieją zarobku. Szedłem prędko ale nadzieja przędzej jeszcze uciekała odemnie i ot zaszedłem za nią aż tutaj. Pytam obywatela jakiegoś na ulicy o polaków — ten mówi mi: jest tu polak redaktor dziennika a drugi Arnold grocownik, idź do nich. Idę tedy do redakcji "Taranu Postępu." Patrzę, siedzi jakiś facet wśród trzech próżnych butelek a czwartą napoczętą i smaruje coś z miną człowieka co niechybnie lekarstwo na uszczęśliwienie świata wynalazł. Mówię mu, kto jestem, czego chcę, a on prawi mi dużo o swym rozumie, o walce z ciemną zgrają kłopotliwych i dawszy w końcu do zrozumienia, że uważa mnie za prostego naciągacza, odprawia w kwitkiem. Z miny jego wnoszą, że jutro na trzech szpalach w dzienniku swym pomieści niechętną historię mych przygód, wyzwie od ostatnich i odejmie mi tym sposobem możność znalezienia zarobku. Krótko jestem w Ameryce, ale poznałem już tych panów samozwańców opinii publicznej i wiem co o nich sądzić. Z kolei szukać zacząłem Arnolda grocownika. Odnalazłem swój sklep, nie przypuszczając na chwilę, że to ty Piotrze jesteś tym Arnoldem, i w sam czas doprawdy, bo zmęczone nogi nie chciały już nieść mnie dalej... Masz mi dać jaką pracę — to daj; znasz mnie dobrze i wiesz że za trzech pracować potrafię. Jeżeli nie możesz mi dać zajęcia — wskaż gdzie je znaleźć mogę. Nie jadłem od rana a nie chciałem jutro jeszcze pościć...

Skończył i cisza w pokoiku zaległa.

Przez zamknięte drzwi przedzierał się gwar ludzkich głosów, wołania chłopców, trzaskanie drzwiami. P. Arnold unikając wzroku gościa ze znużoną miną uderzał niecierpliwie obsadką od pióra o okładkę od książki i rozmyślał jak tu go się pozbyć. W miarę jak milczenie przedłużało się, twarz Marcina coraz głębiej powlekała się cieniem.

— Słuchaj Piotrze, podjął znowu. Potrzebuję pracy, nie tylko pracy, choćby najcięższej. Paskudna to rzecz gdy się chce jeść a nie ma co włożyć do gęby. Nie sposób przecie aby razem z pamięcią przeszłości zamarły w tobie nawet wspomnienia naszych lat dziecinnych. Niedługo innymi byliśmy dla siebie, Piotrze. Pamiętasz ten chleb kradziony piekarzowi, którym karmiłem cię gdy byłeś głodny. Bodaj czy nie lepsze to były wówczas czasy aniżeli teraz... Może źle robię że ci to przypominam, bo gotowyś pomyśleć sobie że przychodzę do ciebie jako wierzyciel po spłatę długu. Przebac mi Piotrze, nie chciałem robić ci przykrości przypomnieniem tego o czym rad jesteś zapomnieć, ale głodny jestem i znużony bardzo...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

— A jednak żegnając nas wczoraj, była zdrowa... Umilkł, oczy rękami zakrył i stał jak posąg boleści. Z głębi duszy, z serca rwały mu się, tłumione a gwałtowne łkania. Zdawało się że pęka mu tam coś w piersi od bólu wielkiego, niesłychanej grozy, zawodów, rozpaczcy nawet...

O! są to chwile takie w człowieczym życiu, że nie życzylibym ich nawet wrogowi mojemu — a mam tylko jednego wroga! Są to chwile dziwnej, nieoświeconej najłżejszym błyskiem czarności — chwile, w których sięciara się powoli z duszy i serca ów brzoskwiniony pyłek najserdeczniejszych, najtłkliwszych uczuć — uczuć, z którymi w szarą godzinę żywota człowiek pieści się jak z pierworodną dzieciną swoją. Niestety! przychodzi rzeczywistość w całej swej wspaniałej grozie i ma jestacie, i zostawia w duszy amletowe zwątpienie, apatyczną obojętność i milczącą rozpacz. Cóż zrobić? umrzeć?

ba! a któż wie? może snić przyjdzie tylko... kto to wiel...

Do saloniku weszła panna Marya. Nie mieliśmy wczoraj czasu przypatrzeć jej się bliżej, bo była godzina późna, a sędzia miał przed sobą kawałek drogi do domu. Była to więc dziewczyna lat 20 może, smukła i zgrabna, ze słicznie utoconym biustem, ręką i nóżką kopeińska. Twarzy czka mała, zgrabna, biała o oczach czarnych, rubinowych ustach, o czole zamyślonem i rozumem, miała w sobie coś nad wyraz miłego i sympatycznego. Nie była piękna, ale miła niezwykle — powabna, pociągająca ku sobie. Jakiś wyraz zrezygnowanego cierpienia potęgował jeszcze to uczucie sympatii, jakie w każdym budziła do siebie.

Weszła i rzekła:

— Dobry wieczór panie sędzio, ach! jak to dobrze, żeś pan przyszedł, bo umieram z ciekawości. Proszę siadać pan, bo ja stać nie mogę.

Wzięła fotel miękki, rzuciła się w niego i z uśmiechem bolesnym patrzyła na gościa.

Sędzia zbliżył się, siadł naprzeciw niej i spytał troskliwie:

— Co pani jest, panno Maryo? czy pani, jest chora?

— Nie, chora niejestem ale rozdrażniona... słaba wreszcie trochę.

Sędzia patrzył na nią. Była blada jak alabaster, jak Beatriks Czenczi w przedmnie szafotu, z wielkimi sinymi planami pod oczami. Oczy te wreszcie miała czerwone, dzięk jakieś, ruchliwe i łzawe...

— Widzę, że pani mocno zmieniona — co pani jest? czy panią co boli?

— Ależ nie mię nie boli, zimno mi trochę, będę miała prawdopodobnie febrę.

— Czy się pani przeziębila? Gdy rzucił to pytanie, uczuł że pobałdł.

— Chyba nie, czy ja wiem wreszcie, odrzekła obojętnie.

— Czemu się pani nie okryje czym ciepłym, pani tak lekko ubrana.

Była w sukni płóciennej, ciemnej, do figury...

— Ależ zimno mi znów tak bardzo nie jest, wreszcie tu trochę chłodno.

— Proszę pani, niech pani się czym okryje. Ach prawda, pani ma taki ciepły wygodny szal — ja każe przynieść.

I zabierał się do wyjścia.

— Ale dajże pan pokój panie sędzio, nie trzeba!

To mówiąc wstała i zbliżyła się do pieca.

— Zagrzej się przy piecu. O! bądź pan tak dobry i przysuń mi fotel.

Westchnęła głęboko — w westchnieniu tem drżała przytłumiona na chwilę łza.

Sędzia wziął fotel, ale rzekł:

— Przy piecu niedrowo

siedzieć panno Maryo, niech pani mię posłucha — ja każe przynieść ten szal, to będzie najlepiej.

— Ale nie trzeba!

— Proszę pani bardzo, pani się jeszcze rozchoruje.

Zbliżył się do niej i patrzył jej w oczy.

— Nakomiec, jeśli mię pani nie posłucha, to będę zmuszony odmówić sobie przyjemności bawienia dłużej w pani towarzystwie. Nie chcę, żeby pani z mej przyczyny chorowała.

— Ale mój Boże, czegoż pan chcesz?

— Chcę, żeby pani się okryła tym ciepłym, miękkim, wygodnym szalem kaszmirowym, który widziałem u pani.

— Ach jakiś pan nudny! No dobrze, dobrze!

Zbliżyła się do stołu i zadzwoniła.

Znana nam już dziewczyna wbiegła.

— Przynieś mi kaftanik, albo chustkę do okrycia się.

— Zwracam uwagę pani, wtrącił sędzia, że to wszystko nie zastąpi tego szalu o którym mówię.

Panna spojrzała na niego nieco zdziwiona i zdawało mu się, że usta jej drżały jak w febrze.

— Ale dla czegoż pan chcesz ten szal koniecznie widzieć? zapytała nieco ostro.

— Widzieć? udał zdziwionego sędzia, a pocóż mi to? tylko...

— Przynieś mi chustkę, te w czerwone pasy, rzekła dostojącej wciąż dziewczyny, a gdy ta wyszła, dodała ze swoim bolesnym uśmiechem i ze łzą w głosie — ja nawet tego szalu nie mam w domu.

I rzuciła się na fotel i zakrywając twarz rękami, poczęła głośno, spazmatycznie płakać.

Porwał się sędzia na równe nogi błąd jak "widmo, z o-

czami słupem stojącymi i cofał się ku drzwiom z ręką wysuniętą naprzód, jak gdyby kogoś odpychał od siebie.

— Nie masz pani tego szalu w domu, szeptał, nie masz szalu? A! to okropne! ja cię tak kochałem!

To mówiąc krzyknął straszliwie i wypadł do sieni a ztąd na ulicę, tak jak stał, bez czapki, bez futra i biegł jak szalony wśród wzmagaającego się co chwila mrozu. Ulice były puste i głuche, bo małomiasteczkowym obyczajem, połowa ludności już spała.

Ta cisza i zimno, opamiętał sędzię. Otrzymał się, opamiętał i pobiegł do domu, wpadł jak fury, zamknął się na klucz i w straszne, bolesne nad wyraz, pograżył dumanie.

VI.

Nazajutrz sędzia przyszedł nadzwyczaj wcześniej do biura swojego. Jeszcze w niem nikogo nie było, woźny palił w piecu i drzemał sobie w najlepsze na sędziowskim fotelu, kiedy stanął przed nim sędzia. Woźny nie poznał go wcale. Był dziwnie zgarbiony, znekany, błąd z oczami czerwonymi, z włossem wzburzonym i zupełnie białym. Posiwał przez jedną noc. Było to istne widmo, cień tego człowieka, wczoraj jeszcze pełnego życia, siły, pewności siebie.

Milcząc siadł przy swoim biurku i pograżył się w głęboką zadumę. Machinalnie bawił się piórem; od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Nagle chwycił papier i poczęł pisać, a to co napisał kazał odnieść według adresu.

W godzinę całe miasteczko wrzało od wzburzenia i podziwu.

Na żądanie bowiem pod-sędka pokoju, prowadzącego śledztwo w sprawie morderstwa w nocy z 3-go na 4-ty Grudnia, władze administracyjne i wojskowe miasteczka dokonały ścisłej rewizji w domu pana Z*** i uwieczili jego córkę, jako podejrzaną o udział w wyz. rzeczonem morderstwie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dwa lata temu R. J. Warren, aptekarz z Pleasant Brook, N. Y. kupił nieco Chamberlaina lekarstwa na kaszel. Opowiada on jak następuje: "W owym czasie medycyna nie była tu wcale znana lecz teraz Chamberlain jest słowem wszędzie używanym." Toż samo jest w wielu innych miejscowościach. Gdzie tylko słowo to znam jest ludzie wszędzie to lekarstwo używają a nie inne.



P. SCHUBERT.

utrzymuje konie na stajni i powozy do wynajęcia.

POGRZEBY prędko urządzi.

522 i 524 Mitchell ul.

Telefon South 16-2 r. Milwaukee.

J. OSBORN,

SKŁAD OBUWIA.

Towar najlepszy. Ceny niskie.

553 Mitchell ulica,

pod ofsem Katolika.

A. GRAY,

sprzedaje BUTY I TRZEWIKI.

Przyjmuje reperacje.

956 Pierwsza ave. Milwaukee.

POZŁACANIE, POSREBACZANIE I NIKLOWANIE

ręczy kościelnych wykonujemy jak najlepiej.

A. WERNER,

415 East Water ul., Milwaukee.

POLSKI SKŁAD DRZEWA I WĘGLI.

WĘGLE po 6.00 tona. Ofis i yard: róg Reed i Burnham ul. dawniejsze miejsce M. Knuta. Pomieszkanie 680—10-ta Ave. SZCZEPAN WALCZAK.

CARROLL & KEOGH CO.

Towary do bierzmowania i 1-ej komunii św.

32 calowy Indijski muslin po 10c yd	32 calowe kropkowe Swisses 40c yd
32 calowy Perski muslin po 25c yd	32 calowy Swiss na welony 25c yd
40 calowy Victoria muslin po 38c yd	2 yardy szeroki Illusior na welony po 75c yd
72 calowy Organdies 50c yd	

JEDWABIE.

23 calowy biały Habutai jedwab po	39c yard
28 calowy biały Habutai jedwab po	50c yard
28 calowy biały Habutai jedwab po	75c i 1.00 yard

119 Wisconsin ulica, naprzeciw poczty.



DOPPELBRAEU

JEST NAJLEPSZE

piwo

W ŚWIECIE.

SPRÓBUJ CIE GO.

PO DOBRZE ODOBIONE

FOTOGRAFIE ŚLUBNE i INNE

udaje się do:

WM. WOLLENSAKA,

500 National Ave.

WYPRZEDAŻ BANKRUTOWA

firmy Peter J. Conrad odbywa się w składzie

The Boston Store

narożnik Trzeciej i Prairie ulic,

za ceny niżej 40 centów na dolarze.

Także WYPRZEDAŻ BANKRUTOWA p. Bossharts

za 25 centów na dolarze.

Wszystko to sprzedają

THE BOSTON STORE,

narożnik Trzeciej i Prairie ulic.

TEODOR RUDZINSKI,

NOTARYUSZ PUBLICZNY,

403 Mitchell ulica.

Wyrobiam hipoteki, kontrakty i wszystkie inne legalne dokumenty; dostawiam abstrakty tytułów; wypozyczam pieniądze na własności miejskie w różnych sumach, po 6 procent od sta; zabezpieczam od ognia w dobrych kompaniach; wysyłam pieniądze do wszystkich części starego kraju; sprzedaję tykietę na wszystkie linie do i z Europy; sprzedaję loty i domy z lotami po najniższej cenie na wypłatę; sprzedaję ziemię na farmy za 2 do 5 dolarów za akier na małe raty, po 6 procent od sta, lub te w zamian na własności miejskie w nowej Kolonii Polskiej w Ellis Junction Marinette County Wisconsin. Mieszkam w Milwaukee 37 lat a w byzniesie jestem 22.

ZASŁON

namoty, chórągwie, okrycia, liny drutowe i z konopi manilowych do dźwigania ciężarów sznurów, kółka, kloce i grube płótno, 17 cali szerokie na obijanie sufitów i ścian, ozłona wiosła itd.

Telefon 42.

Joys Bros. & Co., 205 East Water St.

L. JABLONSKI,

pierwszorzędny

Skład Siodlarski i Rymarski.

Pószorki od \$5 do \$50. Wszelkie inne wyroby oddawia się jak najtaniej. Za dobrą robotę daje się gwarancję. Reperacje wykonuje się jak najpiej.

1039 Market av. róg Forest Home av.

J. J. KIRCHER,

Zabezpieczenie od ognia, Accident Ins.

i wypożyczanie pieniędzy.

Pokój 18 New Insurance Building.

Telefon No. 1542.

Louis Auer & Son,

WYPOZYCZA

PIENIADZE.

Ofis: 2 Ward Bank

Jan Waloch,

MALARZ DOMÓW i SZYLDOW.

Podjejuje się także bielienia i tapetowania.

1013 American Ave.

B. Senderhauf & Co.

FABRYKANCY

MYDŁA,

"GOLDEN COMET"

"WHITE SOAP"

"MILWAUKEE SOAP"

jako i inne wysmienite gatunki.

Zadaje u waszych handlarzy.

Ofis i Fabryka: 103-107 North Ave.

MILWAUKEE, WIS.

PHILLIPS & REBHAN,

81 Michigan ul., Gmach Mitchella.